„Ku radości życia"



CZŁOWIEKU ZBLIŻ SIĘ DO ZDARZEŃ...

Myśl ludzka lotna jest i lubi krążyć w przestworzach.

Podczas wędrówki swej natrafiała nieraz na rzeczy godne uwagi, a rytm wszechświata kołysał ją w takt niewidzialnych fal eteru...

Aż wreszcie ujarzmiła te fale, chwyciła je w sieć anteny, zmusiła do posłuszeństwa i nadała im postać dźwięku. Był on początkowo nieśmiały, schrypnięty. Oczyszczono go jednak z gwizdów i zgrzytów, które błąkają się teraz samotnie. Z radiowych głośników popłynęła melodia słowa, śpiewu i muzyki.

Niektórzy przyzwyczaili i przywiązali się już do radia tak bardzo, że uważają audycje za rzecz nie tylko zrozumiałą, ale po prostu niezbędną w życiu dzisiejszego człowieka...

Krótki ruch gałką odbiornika przenosi nas z jednego krańca Europy, ba nawet całej kuli ziemskiej, na drugi. Słuchamy komunikatów o ostatnich wydarzeniach, koncertów, które przeszłyby bez echa, gdybyśmy nie mieli aparatu, poznajemy charakter danego kraju, jego podejście do pewnych zagadnień itp.

Obok tego istnieje zagadnienie o wiele ważniejsze. Jest nim całokształt problematów społeczno-politycznych, ratownictwa, informacyj społecznych, gospodarczych i wiele, wiele innych spraw, o których tomy możnaby pisać nie wyczerpawszy tematu.

Wszystko to jednak nie zdołało jeszcze dotrzeć do świadomości szerokiego ogółu. Wprawdzie już tylko w nielicznych zakątkach naszego kraju tłucze się śmieszny, godny XIV wieku przesąd, że radio, to „siła nieczysta zamknięta w pudełku". ale wielu, bardzo wielu potrzebuje słowa zachęty do powzięcia ostatecznej decyzji — kupna radioaparatu.

Podświadomie nieraz szukają poparcia w postaci powiedzenia „człowieku zbliż się do zdarzeń, które tętnią dookoła, zwiąż się z nimi, poznaj je, wyjdź na spotkanie, a znajdziesz w nich dużo radości i pogody".

O tym stanie rzeczy świadczy fakt, że już pierwszy numer naszego wydawnictwa spotkał się z uznaniem i wzbudził wielkie zainteresowanie. Tysiące i dziesiątki tysięcy egzemplarzy znalazły się w rękach osób, które potrzebują zachęty, pragną by je uświadomiono.

Drogi rozwoju radia są jeszcze surowe, ale już udoskonalone. Myśl twórcza człowieka zbudziła eter. Obok tego jednak życie nasuwa szare, codzienne troski, o których pragnie się nieraz zapomnieć. Wtedy to szukamy czegoś nowego, czegoś co by nam dało wytchnienie i wypoczynek, oderwałoby od kłopotów, przyniosło szeroki wiew świata... Bo w głębi duszy ludzkiej drzemie iskra niegasnącego nigdy pędu ku wiedzy, poznania zdarzeń i tęsknota kierująca nas ku poszukiwaniom rozmaitości. Tęsknota ta żyje w świecie potężna, tłumiona czasem, lecz nieugaszona. Echo tego pulsu bije rytmicznie w dźwiękach przynoszonych nam przez radio, a wtedy wybiegamy ku radości życia.

REDAKCJA

DUCHY w RADIO

Zygmunt NOWAKOWSKI

W każdym, absolutnie w każdym szanującym się teatrze, nawet w najmniejszej prowincjonalnej budzie, gdy światła zagasną, po skończonym spektaklu, nocą, zaczynają się harce duchów. Poprostu w teatrze straszy zawsze po t. zw. „fajerancie". Każda opera posiada swą „białą damę", a teatry dramatyczne mają swoje rodzone duchy rozmaitego kalibru, zależnie od rozmiarów gmachu i wieku, jaki sobie dany teatr liczy. Wedle stawu grobla. To pewna, że niema teatru bez duchów.

Naodwrót w rozgłośni, w radio, nie ma duchów na lekarstwo. Przynajmniej niema ich na razie, może bowiem przyjdą jeszcze kiedyś. Nie traćmy nadziei. Jeśli tak mówię, nie znaczy to bynajmniej, aby radio było instytucją bezduszną. Stwierdzając nieobecność duchów, nie utrzymuję wcale, jakoby z tego powodu radio było czymś gorszym, pośledniejszym od teatru. Pragnę jedynie w sposób objektywny i plastyczny zarazem podkreślić, jak wielka przepaść istnieje między rozgłośnią a sceną, między radiem a teatrem. Ta nowa jak z igły instytucja nietylko nie ma duchów, ale jeszcze nie zdążyła wyhodować sobie t. zw. genius loci. Bardzo, bardzo szanuję radio i chcę zachować z nim przyjazne stosunki, im częściej jednak zdarza mi się w nim występować, tym namiętniej staram się dociec, dlaczego w rozgłośni wolny jestem od tremy, która mnie nigdy nie opuszcza w teatrze, atakując zawzięcie wszystkie organy, od mózgu i serca zaczynając a kończąc na pęcherzu.

Do radia wchodzę jak do zaprzyjaźnionego urzędu albo jak do eleganckiego Palace-Hotelu, do teatru wkraczam zdjęty czcią i zabobonnym lękiem. Bo teatr to miejsce święte. Dziwna doprawdy rzecz, nawet w biały dzień ogarnia człowieka na pustej scenie jakiś nagły strach, który zimnymi a stalowymi palcami chwyta za gardło i podnosi włosy lodowatym podmuchem. A cóż dopiero dzieje się w nocy! Choć przedstawienie skończyło się dawno, choć maszyniści sprzątnęli dekoracje, choć sufler poszedł na piwo a aktorzy zwlekli z siebie kostiumy, aby cywilne przybrać szaty, scena, gmach cały szumi jak wielka muszla. Scena tęskni, marzy o dawnych, wielkich rolach, przepowiada je sobie w mroku a pomarli dawno tragicy snują się po kątach i robią nieustanną próbę. W budce zasiadł sufler-widmo i podrzuca słowa tekstu, szeleszcząc kartami egzemplarza. Pusty, jak wymiótł, teatr, nie milknie i nie stygnie, ale jak nigdy nie wyłączany motor, dygoce echem minionych sukcesów, premier, dramatów, tragedyj.

Radio nie ma tej nieustannej ciągłości. Po skończonych audycjach, po komunikatach, po rytualnym „dobranoc" dla słuchaczy, radio wyłącza się i przestaje żyć. Teatr nie da się w ogóle wyłączyć. I znowuż nie mam zamiaru w niczym uchybiać, w niczym dotknąć radia, ale stwierdzam fakt, że aktor błyskawicznie zapomina o występie w radio, podczas gdy rola, zagrana w teatrze, prześladuje go długo, długo, pokutuje w jego pamięci i śni mu się po nocach niespokojnych, nawet wtedy gdy dana sztuka dawno już zejdzie z afisza. Nie wiem, czy to jest wyższość jednej instytucji nad drugą, notuję tylko własne obserwacje. Przy całym a głębokim szacunku, jaki mam dla radia, muszę zauważyć, że między nim a teatrem jest mniej więcej taka sama różnica jak np. między maszyną, świetną, najbardziej precyzyjną maszyną a kłębkiem wiecznie żywych, rozedrganych nerwów.

Gdyby ktoś wpadł na kiepski koncept i zamknął mnie w teatrze, na pustej scenie oraz kazał mi tak spędzić noc w samotności, waliłbym ze wszystkich sił w żelazne drzwi i darłbym się w niebogłosy. Rano służba znalazłaby już nieboszczyka. Gdyby ktoś żartem zamknął mnie w pięknej, nowocześnie urządzonej rozgłośni, rozejrzałbym się za jakąś wygodną kanapą i, nie tracąc ani odrobiny czasu, chrapnąłbym smacznie.

Teatr jest instytucją odwieczną, starą jak świat, jeżeli nie starszą nawet, radio natomiast liczy sobie wszystkiego jakichś kilkanaście i to dziewiczych lat. Nie jest obciążone najmniejszym balastem tradycji. Kto wie, może to i lepiej dla radia? Teatr zaś żyje tradycją. O, np. w tym teatrze, który kołysał moją młodość, więc w krakowskim, z prawej strony, zawsze tylko z prawej czyli t. zw. „damskiej", wychodzi Alina w białej, jak śnieg szacie z dzbankiem czerwonych malin na ramieniu... Teatr ten, jak i każdy inny, to jakby nieustanny seans! Z lewej strony niezmiennie ukazuje się duch Banka, w głębi staje zły dziedzic z „Dziadów", a pod sklepieniem fruwają duszyczki Józia i Rózi... Jednym słowem „ciemno wszędzie, głucho wszędzie, co to będzie, co to będzie...

Pod podłogą uganiają i kłębią się niczym szczury Erynje, trzeszczy każda deska, po wszystkich kątach gonią się duchy, na flugach startują widma potępione, z zapadni głębokich, z „trapów", z „Versenkungów", jadą upiory w pojedynkę, albo zgoła kupą.

Podłoga sceny, gdyby zbadał ją pod mikroskopem jakiś przysięgły znawca sądowy, z pewnością wykaże wszystkie możliwe grupy krwi. Bo też lała się tam, lała posoka niczem w rzeźni! To wielkie pobojowisko, pole najkrwawszych batalij świata i zarazem lokal, w którym popełniono wiele zbrodni, zabójstw, morderstw, samobójstw. Śmierć miała tu zawsze obfite żniwo! O, tam zazwyczaj stała trumna Zbigniewa, tędy nieśli na marach nieszczęsną Ofelię, tu widziałem trupa Agamemnona, w tym miejscu padł starościc z ręki Kossakowskiego, ówdzie wyłupiono komuś oczy, kogoś innego zadźgano, z tego znowuż punktu padały najstraszniejsze bluźnierstwa...

A w radio? Słowa, choć niekiedy identycznie te same, co w teatrze, przecież ulatują z rozgłośni. Choćby największy miały ciężar gatunkowy, przecież rychło wyparowują ze studio w kolei przeróżnych, zmieniających się audycyj. Słowu nie towarzyszy w radio czyn, dlatego też z tychże słów nie zostaje gęsty opar, nie przykleja się do ścian, do sufitu a hipoteka radia jest czysta, nie obciążona niczym. Hipoteka i kartoteka przestępcza. Radio jest dotychczas — pardon! — jakby urzędem, a teatr jest ciągle misterium, jest wielką, nieodgadnioną tajemnicą.

Idźmy dalej w poszukiwaniu różnic! Radio nie męczy aktora ani trochę nie wymaga odeń wysiłku. Występ w radio to zabawka. W teatrze, nawet na próbie, aktor wypruwa z siebie bebechy, gra ostatnią parą, ostatnim tchem a w radio nie wolno mu wytężać głosu ani siebie samego. Przeciwnie, im delikatniej gra, im bardziej mówi przez sordynkę, tym audycja wypada lepiej. Po odegranej roli aktor wlecze się do garderoby, długo nie mogąc oprzytomnieć i pozbierać sił. Po skończonej audycji kwituje odbiór honorarium i na tym urywa się jego kontakt z rolą, ze słuchowiskiem. Przed wejściem na scenę żegna się nabożnie, przed rozpoczęciem audycji pyta, czy to idzie na całą Polskę, czy też na jedną stację, i ile wypadnie mu za minuty... Cynizm? Nie! Poprostu jeszcze nie było czasu na to, aby wyrobił się inny, nie tak suchy, nie tak rzeczowy stosunek do mikrofonu, do dalekich niewidzialnych słuchaczów.

Gdy zaś była już mowo o nastroju, o grozie, o tajemnicy, wypada wspomnieć o jeszcze jednym: o humorze, o śmiechu, który rozbrzmiewa w permanencji za kulisami. Próba i spektakl w teatrze to nawet przy najbardziej wytężającej pracy niekończąca się seria kawałów, podczas gdy próba i audycja w rozgłośni odbywa się stale na poważnie. W teatrze niema dnia, niema godziny bez kawału a dowcip pęka jak raca, opromieniając twardą harówkę. O dniu, któryby minął bez kawału, musiałby aktor powiedzieć: „Przyjaciele, straciłem dzień!". Ale tak ponurego dnia nie było jeszcze na żadnej ze scen!

Nie przychodzi się od razu do gotowego. Radio musi zapracować na swoją „białą damę", na swego ducha, któryby straszył. Równocześnie z tym duchem zawita do rozgłośni śmiech. To w przeciwieństwie do pierwszego duch jasny, dobry, pogodny. Oba razem dobiorą się do radia i wtedy dopiero zacznie się prawdziwa twórczość aktorska w rozgłośni...



AMBASADOR SPORTU POLSKIEGO

Jadwiga Jędrzejowska — to ambasador sportu polskiego. Krocząc od sukcesu do sukcesu zjeździła wszystkie najważniejsze korty świata, propagując dobre imię naszego sportu, za co odznaczono ją dwukrotnie krzyżem zasługi. Nic więc dziwnego, że świetna tenisistka zasłużyła sobie na tytuł najlepszego sportowca Polski i ma największe szanse na zdobycie wielkiej nagrody P.U.W.F-u.

Ostatni sezon przyniósł sympatycznej Jadzi olbrzymi sukces — zdobycie wicemistrzostwa w turnieju Wimbledonu, równoznacznym z mistrzostwem świata i drugiego miejsca w mistrzostwach Ameryki, gdzie uległa p. Lizanie (Chile), którą już zwyciężyła kilkakrotnie. Najwybitniejsi znawcy tenisa, umieścili Jadwigę Jędrzejowską na trzecim miejscu na liście najlepszych tenisistek świata, co było dotychczas nieosiągalnym marzeniem tenisa polskiego.

Niebawem rozpoczną się w Europie rozgrywki drużynowe pań, o puchar królowej Jugosłowiańskiej, a filarem zespołu polskiego, będzie właśnie panna Jadzia. Życzymy jej i tenisowi polskiemu sukcesów, tak dużych, jak... mistrzostwo Wimbledonu, który nam p. Jadzia na ten rok obiecała. Wtedy znowu, jak co roku, cała Polska zgromadzi się przy głośnikach radiowych i będzie oczekiwała z niepokojem na najnowsze wiadomości i zapewne tak, jak co roku będzie się cieszyć jej sukcesami.

NA NARTY, SANKI I ŁYŻWY ZAPRASZA RADOSNA, ROZSŁONECZNIONA ZIMA

Wyżej! Jeszcze wyżej! Jeszcze kilka uderzeń kija, kilka ślizgów nart i szczyt zdobyty.

Hen, w dole, ponad fioletową mgłą zakrywającą skromność nizin, lśni i srebrzy się, spotykana tylko w górach srebrno-niebieska biel. Woła oślepiającym krzykiem słońca zaklętego w ośnieżone zbocza gór. Nie czuję się chłodu. Jest zmęczenie, ale jakieś miłe i zdobywcze, takie które kazało człowiekowi wspinać się krok po kroku na nośną ścianę tatrzańskiego zbocza. Płuca aż rosną od czystego i zimnego jak kryniczny zdrój powietrza. Serce gra. Gra radosnym rytmem triumfu i zwycięstwa nad przestrzenią tatrzańską, nad zmęczeniem, nad sobą, a świat staje się tak piękny i bliski, jak... towarzyszka narciarskiej wycieczki. Tak bliski, jak ten ledwo widoczny na śnieżnym kobiercu czarny ruchliwy punkt — narciarz samotnik. A kiedy oczy nasycą się najcudowniejszą panoramą roziskrzonych w słońcu szczytów — wracamy na dół.

Ale tylko szusem! Potężnym rzutem nart, pełnym krystanni, obskoków, — takim ażeby w uszach grała szybkość 50-ciu kilometrów na godzinę. Żeby w płucach oddech się nie mieścił, żeby błyskiem migały po drodze pojedyńcze kikuty zdumionych świerków. Czasem uskoczy ci z drogi przerażony początkujący narciarz, spojrzy za tobą, ale nie ujrzy nic, prócz słupa wzbitych w powietrze roziskrzonych śnieżnych iskierek i szyny blizny, po twoich nartach.

Kto nie zna rozkoszy górskich wycieczek, kto nie czuł zmęczenia podchodów, kto nie zaznał nigdy głodu po powrocie do schroniska, ten nigdy nie zrozumie, ile rozkoszy daje sport narciarski. Ile przyjemności ma w sobie najskromniejszy podwieczorek w wysokogórskim szałasie. Tych wszystkich namawiam jak najgoręcej: spróbujcie!

Zima górska to nie tylko narty! Kto nie może z jakichkolwiek powodów jeździć na „deskach" niech spróbuje sportu saneczkowego. Jest łatwy, niemniej emocjonujący i dostępny dla każdego. Na torze rozbrzmiewającym od zdrowego śmiechu wre życie napewno weselej, niż w dusznych salach dancingowych, a każda „katastrofa", każde wywrócenie się w miękki, śnieżny puch, to nowy powód do śmiechu i do wspomnień.

Zima króluje nie tylko w górskich przestrzeniach. Chodźmy na ślizgawkę. Przy dźwiękach orkiestr, albo przy głośnikach radiowych wirują, płyną, znowu splatają się w piękne figury, różnobarwne rzesze łyżwiarzy. Spójrzcie na zarumienione twarze. Zobaczycie radość życia i zapomnienie o wszystkich troskach, które zostają gdzieś daleko poza lodowiskiem. Na ślizgawce cieszy się z życia: Zdrowie, Sport i Miłość.

Megafony zapowiadają mecz hokejowy. Czyżby to już była ósma? Jakże ten czas szybko leci! Opuszczamy na chwilę lodowisko, ale nie ma powodu do żalu i zmartwień. Widowisko jest doprawdy piękne i emocjonujące. Wszyscy, nawet ci co ze sportem nie mają nic wspólnego, dopingują graczy nie gorzej od przyjaciół klubowych. A sportowcy wiedzą o tym, że ci wszyscy przyjaciele Zimy czekają z drżeniem na dobry wynik swoich pupilów, dzieląc się na dwa obozy: białoczerwony i błękitny, w zależności od kostiumów graczy. Wiedzą o tym, więc rzucają się w pogoń za czarnym krążkiem, dopadają go, tłuką kijkami i pędzą dalej w nieustającej ani na chwilę pogoni błyskawic.

Nadchodzi późny wieczór. Niebo świeci latarniami zgubionych w czerni gwiazd. Wolnym spacerkiem wracamy do pensjonatu na kolację i spoczynek.

Niektórzy zagrają jeszcze w bridża, niektórzy pójdą do sal dancingowych, a młodzież — spać.

Jutro o szóstej — w góry!

CZ. OSTAŃKOWICZ







Odbiornik PHILIPSA
109
Łatwo dostępny. Trzy zakresowy. Czysty i silny głos
Super 4-38A
Siedmioobwodowa superheterodyna. Najpopularniejszy odbiornik w tym sezonie
Super 6-38
Super 4-38B
Siedmioobwodowa superheterodyna bateryjna. Minimalne zużycie prądu
Super 6-97
Nowoczesna superheterodyna wysokiej klasy
"Seria Symfoniczna 38"
Holenderska luksusowa superheterodyna bateryjna zdumiewającej jakości
Super 7-38
Super 8-38
Ultra nowoczesna superheterodyna z monosterem
Holenderska luksusowa superheterodyna z monosterem
Najmilszy prezent Gwiazdkow

Zbłąkane DUSZE

Cisza i półmrok panowały w wytwornym apartamencie na pierwszym piętrze luksusowej kamienicy warszawskiej.

Tylko z jadalni dolatywał nikły dźwięk sreber stołowych i przyciszona rozmowa.

W przyćmionym złotawym świetle żyrandola pochylali się nad stołem dwaj elegancko ubrani panowie. Starszy szpakowaty brunet o wyrazistych rysach twarzy i przenikliwym spojrzeniu szybko liczył rozłożone przed nim łyżki, noże i widelce, po czym podawał je smukłemu z marzycielskimi oczami młodzieńcowi, który zręcznie zawijał poszczególne gatunki nakrycia w serwetki i układał systematycznie w dużym sakwojażu.



Uporawszy się z tą robotą, młodzian spojrzał ku oknu, po czym obrócił oczy na towarzysza i zapytał:

— Czy firanki także samo bierzem proszę wuja?

Starszy pan spojrzał nań z wyrzutem i odrzekł cicho:

— Rzecz jasna. Co się ciągle o wszystko pytasz lebiego niewidymko?! Każda szczegóła swoją rynkową cenę posiada i pakuj wszystko jak leci. Firanki się opyli albo w ostatecznem razie wręczy na gwiazdkie cioci Wincentowej. Już dawno mnie prosiła o jakąś pamiątkie. Zawiń również poniekąd te flaszkie wina co na stole stoi, przyda się dla szwagra Orczykowskiego — podobnież na żołądek dobrze robi. A ja temczasem zajmę się garderobą damską, męską i dziecinną.

I podczas gdy zgromiony młody człowiek zrywał firanki, poważny pan wszedł do sypialni, dobył z kieszeni bogaty asortyment wytrychów, wybrał jeden i zręcznie otworzył szafę. Po chwili począł z niej wyrzucać garnitury i suknie. Uporawszy się z tym podszedł do niskiego francuskiego łoża, dotknął pościeli i powiedział ze znawstwem:

— Lubie pryma poduszkie z odpowiedzialnem pirzem, amator jezdem na artystyczny wyrób. A tu wszystko sztuka w sztukie dobrane. Nawet taki jasiek któren przecież za małoletniego pentaka między legularnemi poduszkami jest — swój fason trzyma. Weźmie się za te pościel na Kiercelaku najmarniej z 50 zł. Pakuj to Feluś!

To rzekłszy szpakowaty brunet niedbałym ruchem zwinął puchową kołdrę w piękny rulon i rzucił na dywan. Już miał to zrobić z drugą, gdy nagle drgnął i nerwowo chwycił za rękę stojącego obok młodzieńca. Ze stołowego dobiegał metaliczny głos kobiecy:

— Złodzieje w mieszkaniu pozostawionym bez opieki, to jedna z dotkliwych naszych bolączek, taka wizyta rujnuje często rodzinę, przyprawiając ją o utratę owoców ciężkiej pracy i długoletniego oszczędzania...

— Co jest jak pragne zdrowia, kto się tam wymądrza? Zapytał wreszcie starszy pan?

— To odczyt z radionu. Widocznie przy zdejmowaniu firanek musiałem go przydusić i zaczął grać.

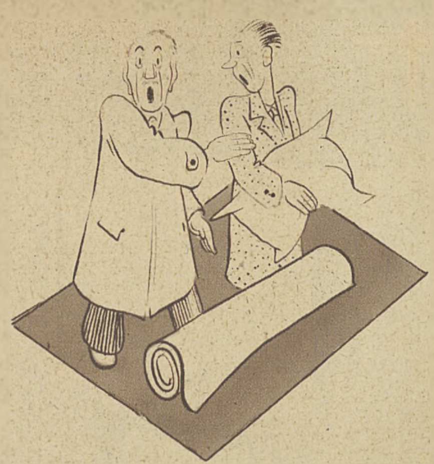
— Daj mu raz w cewkę niech zamknie głośnik. A właściwie poniekąd, nie, owszem niech popyskuje, weselej nam będzie przy robocie.

I obaj krewniacy pakowali dalej wybrane rzeczy słuchając z uśmiechem radia nadającego odczyt prezeski „Ligi odrodzenia podupadłych przestępców".

— ...a przecież nie wolno odwracać się od nich i potępiać bezapelacyjnie. To nie są ludzie z gruntu źli, tylko zdemoralizowani przez brak opieki rodzicielskiej i serca ze strony społeczeństwa.

— Co racja to faktycznie racja. Serca nikt naszemu bratu nie okaże. władza do młyna cechowego złodzieja pakuje, a sąd za byle co rok mamra użycza — powiedział poważnie szpakowaty brunet, zaprzestał pakowania i począł uważnie słuchać odczytu. Słuchał długo, cała gama uczuć malowała mu się na twarzy, a gdy wreszcie prelegentka w zakończeniu powiedziała z mocą:





— Toteż nie powinniśmy się odwracać od tych zbłąkanych dusz, ale podać dłoń, czuwać nad nimi, służyć dobrą radą i pomocą pieniężną — głuchy szloch wstrząsnął jego piersią i łzy jak groch wielkie potoczyły mu się po twarzy.

Ale opanował się wkrótce, na obliczu miał wyraz zdecydowania. Spojrzał ostro na siostrzeńca i powiedział z mocą:

— Jazda Felek wygrużaj cały majland apiać i kładź na swojem miejscu, za odrodzonego przestępcę dzisiaj jestem, wszystko oddaję bez bicia.

— I pościel?

— Rzecz jasna, że i pościel.

— I fraki?

— I fraki za klapy szarpane.

— Ale srebrnego nakrycia chyba nie?

— Wszystko, co do jednej łyżeczki w monogram rzeźbionej.

— A ja się nie zgadzam i swoją dolę zatrzymuję.

— Idź-że ty zbłąkana duszo, bo jak cię huknę w ciemię, to zaraz ci się ambicja poruszy i wszystko na miejscu położysz.

Tu wuj spojrzał tak groźnie na siostrzeńca, że młody człowiek natychmiast wydobył ze sakwojaża srebro i począł je układać w kredensie.

Starszy pan zajął się słaniem łóżek, umieszczaniem z powrotem garderoby w szafach, potem przyszła kolej na firanki. Na zakończenie odrodzeni przestępcy zamietli jeszcze podłogę, wytarli kurze, podleli kwiatki i cicho wyszli.

W przedpokoju pan Feluś spojrzał na krewnego i zapytał z największym zdumieniem:

— A radio wujo zabiera?

— Rzecz jasna, już bym teraz bez niego żyć nie mógł — musi czuwać nad nami.

WIECH.

CO SIĘ DZIEJE W ETERZE?

Ilość stacyj radiofonicznych pracujących w Europie wynosi z górą ok. 300. Każdej ze stacyj została przydzielona na mocy porozumienia międzynarodowego określona fala na której dana stacja powinna pracować. Ta ilość stacyj jest bardzo duża. Na samym zakresie średniofalowym pracuje przeszło 220 stacyj. Zakres obejmuje długości fal od 200 — 600 m, czyli wyrażając to w częstotliwościach, od 1500—500 kc może pomieścić teoretycznie zaledwie 111 stacyj, pracujących w odstępach po 9 kc od siebie. Tylko przy zachowaniu odstępu między falami stacyj, równym co najmniej 9 kc istnieje teoretycznie możliwość oddzielania sygnałów i dobrego odbioru dwóch stacyj. Jest to jeden z warunków koniecznych, ale nie zawsze wystarczający.

Oddzielanie sygnałów poszczególnych stacyj uwarunkowane jest trzema czynnikami: różnicą w długościach fal, wzgl. w częstotliwościach fal dwóch stacyj, stosunkiem siły sygnałów stacyj w miejscu odbioru oraz selektywnością odbiornika. Selektywnością odbiornika zwiemy możność oddzielania sygnałów stacyj o różnicy częstotliwości co najmniej 9 kc.

Jeśli odstęp między stacjami sąsiadującymi wynosi mniej niż 9 kc, wówczas między obiema falami powstaje zjawisko tzw. interferencji. Jedna fala nakłada się na drugą, powodując wzajemne zakłócenie odbioru obu stacyj, którego nie da się wyeliminować.

Trzeci warunek — stosunek siły sygnałów stacyj — jest równie ważnym, jak dwa uprzednio wymienione. Wypadek dużej różnicy pomiędzy natężeniem sygnałów stacji ma zazwyczaj miejsce, jeśli odbiór odbywa się w miejscowości posiadającej stację lokalną. W tym wypadku odbiór stacji odległej, pracującej na fali różniącej się od fali stacji lokalnej zaledwie o 9 kc będzie niemożliwy. Czym różnica mocy 2 sygnałów będzie większa, tym oddzielenie tych sygnałów będzie trudniejsze.

Im zdolność oddzielania sygnałów poszczególnych stacyj przez odbiornik jest większa, tym większą jest selektywność odbiornika.

Selektywność nowoczesnych wysokowartościowych superheterodyn jest doprowadzona do wartości skrajnych, mimo to jednak jeszcze ciągle powstają narzekania na nieselektywność odbiorników. Wątpliwości te wynikają przede wszystkim z nadmiernej ilości stacyj „wtłoczonych" w poszczególne zakresy fal. Przy teoretycznej odległości pomiędzy falami stacyj minimalnie 9 kc, największa dopuszczalna liczba stacyj — jak już wspomnieliśmy — w zakresie średniofalowym byłaby 111. Umieszczenie znacznie większej ilości stacyj musiało nastąpić kosztem jakości warunków odbioru. Duża ilość stacyj pracuje na falach wspólnych.

Na fali takiej pracuje kilka stacyj jednego kraju, nadając ten sam program dokładnie na tej samej fali. Nawet taka praca stacyj może spowodować zakłócenie odbioru. Wielokrotnie gorsze warunki odbioru powstają jednak, gdy na tej samej fali pracuje kilka stacyj różnych krajów. Są to wprawdzie zazwyczaj stacje odległe, ale odbiorniki wysokoczułe, którym stawia się wysokie wymagania co do jakości odbioru, reagują na obie te fale. Stacyj zakłóconych w ten sposób jest w zakresie średniofalowym dużo, wystarczy przytoczyć stacje polskie, które pracują na wspólnej fali ze stacjami zagranicznymi:

Warszawa II i Helsingborg (Dania); Łódź i Montpellier (Francja); Kraków i Barcelona (Hiszpania); Toruń i Bolonia (Italia); Lwów i Coruna (Hiszp.); Wilno i Bolzano (Italia).

Fale tych stacyj polskich w niedużym oddaleniu od stacji nadawczej występują z gwizdem interferencyjnym i odbiór ich jest zniekształcony.

Dalsze źródło zakłóconego odbioru wielu stacyj leży w niedokładnościach długości fal. Gdyby na zakresie średniofalowym pracowało 111 stacyj w odstępach dokładnie po 9 kc, poszczególne fale nie interferowałyby ze sobą. Niestety, wiele stacyj pracuje na falach nieco innych, niż wynikałoby to z podziału 9 kc, a co najgorsze pewna ilość stacyj utrzymuje długość fal dosyć niestarannie. W ten sposób dana stacja o złej stałości fali interferuje jednego dnia z jedną falą sąsiednią, drugiego dnia z drugą falą, przez co nawet nie można ustalić z góry fal zakłóconych. Trudny stan rzeczy pogarsza jeszcze pewna ilość stacyj rosyjskich, które nie posiadają fal przydzielonych na mocy konwencji międzynarodowej. Stacje te nie tylko, że pracują niekiedy na obcych falach, ale ponadto częstokroć zmieniają długość fali, przeszkadzając to jednej to drugiej stacji. Wpływ ten daje się szczególnie we znaki w wschodniej części kraju.

W takich warunkach czysty odbiór większości stacyj nieposiadających własnej fali jest więcej niż problematyczny. Mianowicie fale wspólne silnych stacyj praktycznie przepadają dla nas, natomiast jeśli jakaś silna stacja pracuje na wspólnej fali ze słabą i oddaloną stacją, to odbiór silnej stacji będzie przeważnie znośny.

Na zakresie fal długich stan jest również bardzo trudny, bodaj nawet jeszcze gorszy. Z pośród 14 stacyj pracujących na falach pomiędzy 1000 i 2000 m, tylko pomiędzy dwiema stacjami (Droitwich i Deutschlandsender) istnieje przepisowy odstęp 9 kc, ale już sąsiadujące z nimi stacje pracują w odstępach mniejszych: Deutschlandsender — Istanbul — 5 kc, Droitwich — Mińsk 8 kc. W ten sposób, jakkolwiek Droitwich i Deutschlandsender nie przeszkadzają sobie na wzajem, to jednak stacje te są zakłócone przez inne stacje sąsiednie. Radio Romania (Brasow) i Hilversum pracują na tej samej fali. Dlatego na tej fali słychać zawsze audycje obu stacyj z towarzyszącym silnym dudnieniem. Bardzo silna stacja moskiewska o mocy 500 Kw. pracuje w rzeczywistości na fali innej, niż przydzielona, w odstępie zaledwie 6 kc od Lahti. Odstępy pomiędzy innymi stacjami wynoszą przeciętnie 6—8 kc.

Stałość fal stacyj krótkofalowych pozostawia także wiele do życzenia. Nadto na zakresie fal krótkich istnieje wiele stacyj amatorskich, które często pracują na falach bardzo zbliżonych do fal normalnych stacyj radiofonicznych krótkofalowych, powodując zakłócenia.

Fakty te tłumaczą w dobitny sposób trudności odbioru wielu stacyj. W tym stanie rzeczy jasnym się staje, że większość reklamacyj, dotyczących „nieselektywności" — nie może odnosić się do odbiorników, lecz ma swe źródło li tylko w bardzo wadliwym rozdziale fal, spowodowanym nadmiarem stacyj w Europie.

Wit.

ACH TA KIKI!...

Ciekawy jestem w jaki sposób odnalezionoby tę kobietę, gdyby poszukiwano jej na podstawie urzędowego rysopisu? — Wiek, lat dwadzieścia pięć... Chwileczkę, chwileczkę!... Czyż jakaś kobieta podała kiedy swój wiek dokładnie?... Brunetka... — może nią kiedyś była, ale za mojej pamięci dostrzegłem włosy rude, popielate, wreszcie platynowo-blond... Oczy... — Ależ miała je przepiękne, tylko że zmieniają się one przecież zależnie od okoliczności...

Nie snujmy więc dalszych wniosków, bo przede wszystkim kobiety tej nikt nie poszukuje na razie, ja zaś znajdę ją zawsze, nawet po tych codziennych metamorfozach.

Dodam tylko, że figurę miała podobną do rzeźby, którą gdzieś kiedyś pokazywano mi jako wzór, usta ponętne i obficie uszminkowane, co utrudniało nieco, nie uniemożliwiało jednak pocałunku... Poza tym miała kanarka, kotka angorkę, pieska pekińczyka, pokazującego uparcie rozrzewniająco długi język i... to byłoby wszystko...

Ale prawda! Posiadała jeszcze w swoim mieszkaniu papugę. Na imię jej było (tej papudze, nie kobiecie) Kiki.

Dziwny to był ptak. Ilekroć zjawiałem się u Dziuni (tym razem mówię o kobiecie) papuga witała mnie niezwykle serdecznie, czego dowodem był gromki okrzyk: „Głupi!". Mówiła to z taką niezachwianą pewnością, iż czułem się zawsze przekonany o słuszności jej zdania.

Poza tym wszystko odbywało się przepisowo. Jeżeli przez nieuwagę zbliżyłem się zbytnio do efektownej kanapki, długojęzyczny pekińczyk szczerzył zęby, ostrzegając przed zajęciem jego łoża. Na fotelu klubowym spoczywała stale i niezmiennie angora.

Siadałem tedy na małym zydelku, pulem nie wiadomo dlaczego zwanym i czekałem na ukazanie się Dziuni, która kończyła jakieś zabiegi, dozwolone wprawdzie, nie mniej długotrwałe. Nie mogąc zapalić papierosa (kanarek nie znosił dymu) oglądałem cierpliwie wzorzyste tapety, upstrzone złośliwymi obrazkami.

Na jednym z nich centaur porywał kobietę. Szczęściarz to był niewątpliwie, skoro zastał ją przed odbyciem porannej toalety. Mógł sobie galopować swobodnie leśną ścieżyną, nie bacząc na zwisające konary. Niekiedy życzyłem mu w duszy, by zjawił się nieco później, a wówczas stąpałby na czubkach swoich kopytek, by nie uszkodzić uczesania wybranki. On jednak odpowiadał mi stale obleśnym uśmiechem.

Pasja mnie ogarniała i kiedy zjawiała się nareszcie Dziunia, czułem się jak ów Wezuwiusz, w którym się wiecznie coś kotłuje. Rzucałem się jak tygrys ku mojej bogini, by usłyszeć ostrzeżenie:

— Uważaj, Hipolicie, bo mi zepsujesz twarz...

Wprawdzie nie wiedziałem, na czym polega takie zepsucie, ale ponieważ zdawałem sobie sprawę, iż jest ono połączone z zepsuciem humoru, więc cofałem się onieśmielony... Aż pewnego dnia (bo na tym globie wszystko się musi stać „pewnego dnia") nie zastałem Dziuni... Wyszła z pekińczykiem na spacer, jak sądziłem.

Usiadłem na opustoszałej kanapce i nic zważając na kanarka, zapaliłem papierosa. Spojrzałem przy tym na papugę, która zajęta była pozbywaniem się nieproszonych lokatorów, zamieszkujących chętnie pod jej upierzeniem.

Ona jednak nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Dopiero po dłuższej chwili zerknęła w moją stronę i zawołała radośnie:

— Tadziu najdroższy!

Proszę... Nie spodziewałem się nigdy, że taki wstrętny ptak znajdzie jakiegoś Tadzia, który, który... Ale skąd znowu Tadzio!... Kto mógł nazwać papugę męskiego rodzaju Tadziem!... A może jakiś mezalians?... Na to jednak nie pozwoliłaby Dziunia...

I nagle, jak błyskawica, olśniła mnie myśl: — Ależ tak, ten mezalians, to żadna Kiki i w ogóle nic nie ma wspólnego z papugą!

Spojrzałem ponuro na centaura, który speszył się straszliwie, czując niestosowność swojego zachowania się w obliczu mego cierpienia. W lustrze dostrzegłem twarz, dyszącą zemstą i postanowiłem obmyślić dalsze postępowanie.

Wreszcie plan był gotów.

Po upływie godziny usłyszałem kroki i rozmowę. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości. Dziunia wracała z jakimś mężczyzną.

Weszła roześmiana i, o zgrozo, zawołała na mój widok, nie zmrużywszy nawet oka:

— Hipolicie, ty na tej kanapie, jak mogłeś!

— Tak — odpowiedziałem groźnie, ale zostawmy kanapę na potem, bo mamy do omówienia inne tematy.

— Co za powaga — zaśmiały się kuszące wargi.

— Kim jest ten pan?

— Ten pan? Ha-ha-ha-ha, jakiś ty głupi!...

— Głupi! — ucieszyła się niezmiernie papuga.

Tego już było za wiele. Ten ktoś (nawet zupełnie przystojny byłby w innych okolicznościach) przysłuchiwał się naszej rozmowie z pogodnym uśmiechem, jak mi wymyślały kobieta i jej papuga...

Skoczyłem ku Dziuni i nie zważając na jej okrzyki, począłem całować, powtarzając:

— Niechże się teraz przyjrzy i powie, czy to przyjemnie...

Nieznajomy jednak usiadł na kanapce i powiedział flegmatycznie:

— No wiesz, ten twój Hipolit nie jest wcale taki nieśmiały, jak mi opowiadałaś...

— Kimże jest, u diabła, ten pan! — wycedziłem, starając się zachować spokój i czując, że za chwilę przystroją mnie w kaftan bezpieczeństwa.

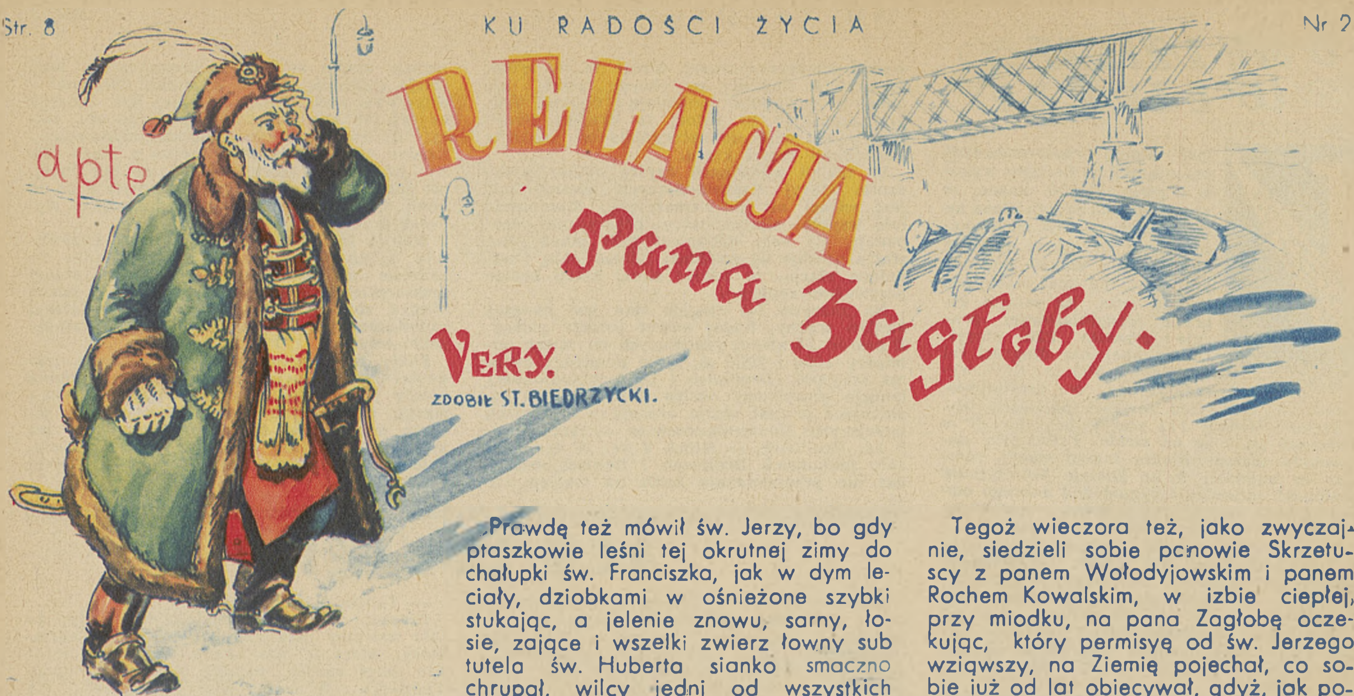
— Ten pan?... Prawda, że wy się nie znacie... Ten pan, Hipolicie, jest moim bratem... Na imię mu Tadeusz i... jakiś ty niemądry...

— Głupi — poprawiła Kiki.

Tym razem przyznałem rację papudze z całą satysfakcją, wiedząc, że we własnym domu usłyszę to od niej nie raz...

ANDRZEJ GRYP





RELACJA Pana Zagłoby.

VERY.

ZDOBIŁ ST. BIEDRZYCKI.

Zima Anno Domini MCMXXXVII była tak tęga, że nietylko ludzie, ale najstarsi Aniołowie tęższej nie pamiętali. Całe Niebo śnieg wyżej łokcia zasypał i mróz ścisnął okrutny, aż drzewa w lesiech Niebieskich pękać zaczęły, od którego pękania słychać było, jakoby palbę nieustanną.

Wielka się krzywda owej zimy działa zwierzowi wszelakiemu, który też z tej nędzy bojaźni przyrodzonej stradawszy ku wrzeciądzom Niebieskim się pomykał, tak tusząc, że może gdzie jaki ochłap nalezie, którym czczy y zziębnięty venter napełni. Osobliwie wilcy się zwąkroili wedle bram niebieskich, nocami okrutnie, a żałośliwie wyjąc, którym św. Jerzy, wszystkiego komunika Niebieskiego Hetman Wielki, aliquando ścierwa końskiego podrzucał, o co, gdy go inni Święci Pańscy gromili, iż tak nieżyczliwie wszelakiemu stworzeniu, bo i ludziom i animalibus, bestye karmi — odpowiadał:

— I wilk stworzenie boskie, takoż żyć musi, a o tych mizerakach nikt nie pamięta, jeno żołnierz, z którego ręki wilk się nieraz pożywi, skąd amicycya między nimi wielka roście, jako i w Piśmie powiedziono: „Wilk żołnierzowi przyjaciel".

Prawdę też mówił św. Jerzy, bo gdy ptaszkowie leśni tej okrutnej zimy do chałupki św. Franciszka, jak w dym leciały, dziobkami w ośnieżone szybki stukając, a jelenie znowu, sarny, łosie, zające i wszelki zwierz łowny sub tutela św. Huberta sianko smaczno chrupał, wilcy jedni od wszystkich przepomniani, głód, chłód i poniewierkę okrutną cierzpieli.

Incolae też Niebiescy wielce tej zimy narzekali, po kątach się tuląc i w dłonie zziębłe chuchając, a osobliwie iszpańskiej i włoskiey nacyi homines, mrozów niezwyczayni, polacy bowiem adhuc z jesieni, gdy ieno wczesny odlot kaczek i gęsi postrzegli, zaraz po rozum do głowy poszli i co żywo wedle wylepienia pieców, ogacenia dworów y chałup słomą, a okien mchem zakrzątnęli się.

Imć Pan Rzędzian zasię, dzierżawca z Wąsoszy bez mała cztery niedziele we trzy pary koni drzewo z lasu woził i stosik tak zacny buczyny (jako to wiadomo, do komina najprzedniejszej) praeparavit, iż nie jedną, a trzy zimy można było w cieple, przy ogniu buzującym przesiedzieć.

Siedziała też stara kompania łubniańska dzień w dzień w cieple, aż innych zazdrość chwytała i co raz, ktoś z mieszkańców Niebieskich do dworku panów Skrzetuskich się przemykał, niby o zdrowie spytać, a w rzeczy, by przy kominie ciepłym posiedzieć i trójniaczku pociągnąć, którego pan Rzędzian coś czternaście beczek do piwnic zwiózł, na tatarskie kożuszki mieniawszy.

Tegoż wieczora też, jako zwyczajnie, siedzieli sobie panowie Skrzetuscy z panem Wołodyjowskim i panem Rochem Kowalskim, w izbie ciepłej, przy miodku, na pana Zagłobę oczekując, który permisyę od św. Jerzego wziąwszy, na Ziemię pojechał, co sobie już od lat obiecywał, gdyż, jak powiadał, tak się do wareckiego piwa stęsknił, że mu Niebieskie potrawy zgoła nie w smak szły i na zdrowiu zaczął szwankować.

— Prawda, mówił, — że piwo w zimie na nic, chyba grzane, ale cóż robić, kiedy w lato człowieka na Ziemię nie puszczają, jeno raz w rok, na Boże Narodzenie. To niech się choć grzanego piwa w Warce napiję, bo mnie takowe taedium toczy, iż zgoła na ławie usiedzieć nie mogę, jakby mnie kto szydłem z pod spodu ekscytował.

Tydzień już cały pana Zagłoby nie było, a że dziś właśnie permisya mu się kończyła, tedy przyjaciele do takowej konwikcyi doszli, że ani chybi, iedno dziś wieczór pan Zagłoba powróci.

— Chyba, żeby mu się wypadek trafił, jak to w drodze, — zauważył pan Michał, pociągając miodu.

— Coby mu się miało trafić — powiedział pan Roch Kowalski — sanna jako lustro. Zawczoraj św. Mikołaj z całym taborem ruszył na Ziemię, dzieciom lalki i pierniki transportans, i drogę przetarł.

W tej chwili drzwi się otwarły i wszedł do izby pan dzierżawca z Wąsoszy.



RADIO NA GWIAZDKĘ



Śnieg sypie dużymi, białymi płatkami... Zima w pełni. Już tylko zaledwie kilka dni dzieli nas od Świąt Bożego Narodzenia. Zbliżają się najmilsze naszym sercom święta, skupiające wszystkich członków rodziny przy tradycyjnym opłatku... Święta obchodzone uroczyście wszędzie, nawet w najdalszych zakątkach szerokiego świata...

Boże Narodzenie — to okres zabawy i wypoczynku, oderwania się od codziennych trosk i kłopotów, okres powszechnej radości. Tradycyjny opłatek, choinka i podarunki. Tak, podarunki. Kłopotliwy, ale tak miły objaw serdecznych uczuć rodzinnych. Każdy przed uroczystym dniem wigilijnym zastanawia się nad wybraniem stosownego upominku, którym mógł by sprawić na gwiazdkę jak największą przyjemność swym ukochanym.

A przecież wybór jest tak łatwy! Przecież najpiękniejszym, najpraktyczniejszym podarkiem, dającym przez wiele lat zadowolenie wszystkim bez wyjątku członkom rodziny, — jest radio.

Radio — głos dalekiego świata, przenikający do zacisza naszego małego, domowego światka echami odległych wydarzeń, dziś rozgłośnym biciem dzwonów zwiastuje nam radosną nowinę Bożego Narodzenia.

Radio, ów cudowny wynalazek obecnej doby, umożliwia każdemu wzięcie udziału w uroczystych obchodach tego święta na całym, szerokim świecie. Usłyszeć można Pasterkę z Rzymu, bicie dzwonów z katedry Westminsterskiej w Londynie, piękne melodie kolend, śpiewanych w różnych krajach.

Jedynie radio może zapewnić radosne i beztroskie święta.

A więc, Boże Narodzenie i radio!

Do tego jeszcze jedno niezbędne dopełnienie: Philips! Tylko bowiem aparat z „Serii symfonicznej — 38" Philipsa zapewni najlepszy odbiór, bez żadnych zakłóceń.

Odbiór, dający pełne zadowolenie.



NAJMILSZY PREZENT NA GWIAZDKĘ

CZARODZIEJSKA PODRÓŻ NA FALACH ETERU

Możemy pozostać na swych miejscach, tu, gdzie się obecnie znajdujemy. Nie potrzebujemy nawet poruszyć się, by odbyć podróż naokoło świata.

Jednym ruchem ręki możemy przybliżyć najdalsze zakątki ziemi.

Dokąd by teraz zawędrować?

Do Francji, Anglii, Węgier czy Szwecji, a może do Ameryki? Wszędzie zawiezie nas na falach eteru czarodziejski „ekspress przestworzy" z szybkością 186.000 mil na sekundę. Wystarczy 1/7 sekundy, aby objechać cały świat. A tak wiele jest ciekawych miejsc, tyle źródeł radości i rozrywek. Tak ogromna ilość radiostacyj, które co dzień o każdej porze uczą i bawią, podają najświeższe wiadomości, zapoznają z zwyczajami i obyczajami wszystkich zamieszkujących glob ziemski ludów.

Posiadając odbiornik radiowy, cały świat mamy w swoim przytulnym mieszkaniu. Cudowna, pouczająca podróż odkrywająca coraz nowe rzeczy, bez żadnego z naszej strony wysiłku. Lekkie poruszenie gałką i już jesteśmy w upragnionej miejscowości.

Nie ma dla nas żadnych tajemnic dzięki najnowszemu odbiornikowi Philipsa!

Dlatego też jest on najbardziej pożądanym i najpraktyczniejszym podarkiem gwiazdkowym.

PHILIPS *Super 4-38*



II pr. 123/7

DOM PRASY S.A. WARSZAWA

M.I



— Jak żyję — powiedział, odłupując z wąsów sople lodu — jak żyję, chwalić Pana Boga, już trzydzieści dwa lata, takiego mrozu nie pamiętam. Nawet ta zima, cośmy Tykocina dobywali...

— Cicho, no... ozwał się nagle pan Wołodyjowski — jakoby janczary słychać.

Umilkli wszyscy i nastawili uszu. Z oddali doszedł nikły głos, by muchy na szybie, który, wyraźniejąc zwolna zamienił się wreszcie w brzękanie dzwonków.

— Jako żywo, wuj wraca — zakrzyknął pan Roch, wybiegając z izby.

Po chwili dzwonki zadzwięczały tuż wedle ściany i z sieni doszedł tubalny głos pana Zagłoby.

— Z gołym łbem! Z gołym łbem świszczypała, na takowy gelidus wylatuje. Do reszty swój głupi łeb nadweręży, jak mi Bóg miły! Przestrzelił ci ten łeb książę koniuszy pod Warszawą, ale ja ci go lepiej przestrzelę, niech jeno burkę zrzucę i kożuch.

W chwilę potem, gdy przyjaciele powitali się, wycałowawszy się z dubeltówki, pan Zagłoba zasiadł przy stole, na którym wnet pojawiła się misa jajecznicy z wędzonką.

— Nunquam — mówił pan Zagłoba, skrobiąc łyżką o brzeg misy — nunquam mnie drugi raz na takową ekspedycyę nie namówicie.

— Przecie się wuj sam naparł jechać — rzekł Roch Kowalski — jeszcze na taki mróz.

— Obacz, abyś nie bluźnił — powiedział pan Zagłoba, spoglądając na siostrzana surowym wzrokiem. — Mróz taksamo Pan Bóg dał, jak pogodę i słuszny to jest regimen natury, że mróz po lecie następuje, który wszystkie insekta plugawe, abo i myszy wydusi, bez czegoby snadnie całe przyrodzenie różne zarazy trapiły.

— To i myszy Pan Bóg stworzył — odrzekł pan Roch.

— Powiedział, co wiedział. I ciebie Pan Bóg stworzył, a czemuż dowcipu ci poskąpił? Jednemu szydło goli, a drugiemu brzytwa nie chce, na tem polega equilibrum w przyrodzeniu, bo gdyby wszyscy byli mądrzy, abo wszyscy głupi, czyli też same myszy bez żadnej cyrkumskrypcji na świecie się lęgły, tedyby equilibrum natury zakłócone było. Ciebie Pan Bóg stworzył, Syn Boży odkupił, Duch Święty zasię oświecić zapomniał, a dlatego regimen natury całe zakłócony nie jest.

— A mnie co do tego — odparł pan Roch.

— Jeśli ci nic do tego, to nie przeszkadzaj. Owóż tedy, co to ja chciałem powiedzieć? Aha. Miodu, panie Michale.

Gdy pacholik sprzątnął misę i łyżki, postawiwszy natomiast omszały gąsior i kilka szklenic, pan Jan Skrzetuski, spytał:

— A jakże tam teraz w Rzeczypospolitej?

— Phi... jedno tylko wojsko zacne, zresztą....

Machnął ręką.

— De publicis kiedyindziej wam opowiem. A teraz posłuchajcie, co mi się przydarzyło. Owóż tedy jechałem do Warki przez Mławę, Przasnysz, Ciechanów, na Warszawę. Warszawa... nie poznać jej. Chyba z dziesięć razy większa, niż za inkursyi szwedzkiej. Most... cały z żelaza. Nie jeden!

— Czyliż być może? — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

Dzierżawca z Wąsoszy wytrzeszczył oczy.

— Co tam zresztą mosty. Takie cuda widziałem, żem ja stary, na ulicy stanął i z podziwienia tchu puścić nie mogłem. Same wozy bez koni po mieście jeżdżą...

— Koloryzujesz waść... — uśmiechnął się pan Stanisław. Skrzetuski.

— Niech mnie kule biją! — zakrzyknął pan Zagłoba, uderzając pięścią w stół — niech turkom przy haremie służę, jeśli łżę!

— Wuj nie łże! — zawołał pan Roch Kowalski, tocząc dokoła groźnym wzrokiem.

— Same wozy bez koni po ulicach jeżdżą, jak tu siedzę żywy! Smrodzą dymem, bo smrodzą, ale suo motu, sine equis j e ż d ż ą! Więcej wam rzekę! Mają tam teraz takie samograje, że jeno drut w ścianę waćpan wsadzisz, guzikiem pokręcisz i muzykę m o ż e s z waćpan z onego samograja evocare, jaką tylko zechcesz. czyli kapele grzmiące, czyli gorga subtelne, czyli nawet choćby vox humana, przepowiastki trefne reprodukującą!!!

— Nieczysta siła! — przeżegnał się starosta z Wąsoszy.

— Nie żadna nieczysta siła — przerwał pan Zagłoba — jeno fabri tamtejsi do takowego kunsztu doszli, że z aury potrafią voces na drut łapać i to choćby z cudzych krajów. Angielczyk za morzem muzykę odprawuje, a w Warszawie samograj wszystko tak wiernie refert, jakobyś waść z drugiej komnaty słyszał.

Pan Wołodyjowski popatrzał niedowierzająco dokoła.

— Czyliż to możliwe? — spytał — aby przez rozbujałe flukta vox można było na drut łapać?

— Łapią! Żebym się z tego miejsca nie ruszył, jeśli nie łapią! Lampki takowe mają i oraz tubus, z którego vox wychodzi, jakoby przed panem angielczyk, czyli francuz siedział i po swojemu szwargotał. Niech olsnę, jeżeli łżę.

— Tak jest — poświadczył pan Roch Kowalski z energią — vox z tuby wychodzi, jakoby pora z gęby!

Długo jeszcze opowiadał pan Zagłoba przyjaciołom, a nawet jął na papierze delineare, jako samograj wygląda, a gdy się rozchodzili na spoczynek, pan Stanisław Skrzetuski, mrugnął do pana pułkownika Wołodyjowskiego i nachyliwszy się mu do ucha, szepnął:

— Koloryzuje stary, by z nut.

— Jak to zwyczajnie, on... — szepnął mały rycerz, uśmiechając się pobłażliwie.



DZIW UROCZNEJ NOCY

WITOLD BUNIKIEWICZ

Nad Myszyńcem zeszedł różowy miesiąc i zajrzał w okna Jakubowe. Mróz był, aż przepalał ściany w chałupie i wypisywał grubym pendzlem na szybach dziwne jakoweś stwory i zielska, niespotykane w świecie.

Podobno rosną takie na odległych gwiazdach, a czasami trafiają się i w puszczy, tylko trzeba za nimi dobrze spozierać po ostępach, ale Jakub, jako żywo, nigdy podobnych nie dostrzegł, choć pilnie rozglądał się po kniei, wypatrując nie tylko grubszego zwierza, jelenia lub dzika, ale i gniazda turkawek i ryby w strugach i pastwiska na polanach, aby uradować się bogactwem puszczy.

A od kilku dni wcale mu się nie wiodło.

Kurzawica zawaliła wąwozy i przesmyki w borze, nanosiła tyle śniegu, iż przekopywać się trzeba było przez zaspy.

Jakżeż więc trafić było można na zwierza, który spał po norach, nie mogąc wydobyć się, podobnie jak człowiek, na świat jasny?

Przeto zżymał się Jakub w próżnowaniu i złość go porywała na mróz, śnieg i kurzawicę, bo i na ząb nie miał czegoś godziwego położyć.

Gdy pusty brzuch, głowa nad tym się markoci, a gdy pusto w głowie, brzuch lamentuje, przeto Jakubowi obrzydło takie kaprastwo.

Przypomniał sobie, jak prawił Dolanek:

— Bierz Kuba, co podpadnie pod rękę — jelenicę, czy młodego sarniuka, nie przebieraj, boś nie gospodarzem w puszczy, ale złodziejem.

Ale Jakub dziwaczył, jakby sam był gospodarzem na całych Kurpiach, a wszystkie polany, barcie i strumienie, wszystek zwierz leśny i pierzasty ku jego istniały wygodzie. Bywało, stanie nieraz Jakub na porębi z rusznicą u nogi i czeka: sadzi rogacz, jak wieża, przystanie, łbem pokręci, samo serce podstawi pod lufę, a Jakub nie strzeli, lecz mamrota:

— Urosłeś zwierzaczku, pięknie wyrosłeś, ale nie wałęsaj się po widnych drogach, bo cię byle lapserdak ustrzeli, a panienka twoja zginie wtedy z rozpaczy.

I tak mówiąc, ciśnie grudę ziemi prosto w sarniuka i pohukuje za nim ku przestrachowi.

Natomiast kilka dni i nocy biega po najczarniejszych zaroślach, brodzi po trzęsawiskach i piachach, a gdy wreszcie upoluje koźlaka, lup nie opłaca trudu — lecz Jakub zadowolony, uśmiecha się i powtarza:

— Aha, myślałeś, że mi się wywiniesz, na wędzenie pójdziesz rozbójniku, dość już napsułeś trawy w puszczy i nakrzywdziłeś słabszych od siebie. Masz teraz za swoje!

Taki był dziwny Jakub, ale nikt go nie miał za głupca, bo do wszystkiego zręcznie się nadawał, czy to dom wyciosać, czy łapcie uszyć, czy wreszcie przedrzeć się za pruską granicę po proch i kule do rusznic.

Lecz tego właśnie dnia dopaliło Jakubowi najwięcej.

Nogi zdrętwiały mu z przesiadywania pod piecem, a w krzyżach czuł ciężkość, jakby krew w nim zakrzepła.

Nic też dziwnego, że gdy wieczorem uciszyło się na dworze i księżyc zajrzał do chałupy, porwał Jakub strzelbę, by pójść do lasu.

Zły był na siebie i na świat cały, przeto postanowił.

— Niczego nie oszczędzę, zając, sarna, prosiak niedołatek, wszystko jedno, co się nawinie pod rękę, uczciwy zwierzak, czy łotr, skoro podleci pod fuzję — ubiję.

Gdzieś tam wedle sołtyka błyskały ruchome światełka, ludziska przedzierali się przez śniegi, ominął ich Jakub, aby nie pozdrowić słowem Bożem, bo miał żal w sercu i do Pana Boga, iż mu nie sprzyja i do szatana, że rozpuścił takie psiarstwo po ziemi, które dmie w piekielne piszczały, śniegiem pluszcze, przejścia zawala, nie widząc nawet, iż broni w ten sposób dobytku biskupiego w puszczy.



Bo jakkolwiek stworzył Pan Bóg knieję dla wszystkich, to jednak ksiądz biskup płocki jej oręduje i nieraz już przykazywał, aby ścigać strzelców, którzy buszują w borze, jak na swoim.

Las zaczynał się niedaleko i Jakub utonął w jego gęstwinie, kierując się ku dobrze znanej polanie, gdzie stały kopki, nie sprzątniętego jesienią siana.

Spotka tam napewno stado jeleni, a między nimi Brodacza, z blizną na prawym udzie.

Dzielny jelonek w ciężkiej walce z zazdrośnikami zdobył sobie pierwsze miejsce w gromadzie i wodzi ją teraz po kniei. Nawet wilki pierzchają na jego widok, bo siłę ma straszną i niejednego przygwoździł łbem do ziemi, rozrywając racicami wnętrzności.

Tylko wilk Kosmacz nie lęka się siły jelenia i zaprzysiągł mu zgubę. Szukają się obydwaj w puszczy, lecz dotąd nie spotkali się jeszcze oko w oko. A może nie chcieli się spotkać, bo jednemu z nich śmierć w takim spotkaniu.

Wiedział o tej zawiści Jakub i nigdy nie wycelował strzelby w króla jeleni, lecz teraz napewno nie wypuści go żywcem, skoro dostrzeże na zasięg kuli.

Respekt miał również Jakub dla straszliwego Kosmacza, który najwścieklejsze ogary rozgryzał jak łby królicząt, a miał takie przerażające ślepie, iż zając lub sarenka, ujrzawszy ich światło, zatrzymywały się w miejscu, same oddając się w pazury wilcze.

Temu także nie daruje i wyszuka go wedle przewalonej wichrem olchy na oparzelisku, do którego znają drogę dwa tylko stworzenia na świecie: wilk Kosmacz i on, strzelec Jakub.

A obok stada jeleniego króla krążą opodal zające, wiedząc, iż obecność mocarza ochroni je od drapieżców i pozwoli swobodnie obgryzać gałązki młodej drzewiny, niektóra sarenka tuli się pod opieką jeleniego stada, a nawet ptactwo wylatuje z dziupel, radując się z siłaczem, który dumnie stąpa po śniegu, zadowolony z swego władztwa.

Jakub przyśpieszył kroku, aby dotrzeć jak najprędzej do polany, którą objął w panowanie jeleni brodacz.

— Dam ja ci pyszałku, tobie i Kosmaczowi śmierć, nie ominę także Kudłatego, który nazywa się niedźwiedzim królem, pomrukiwał zawzięty strzelec. Wymorduję wszystkich, bo nikt tu w kniei nie może być panem, tylko ja, i nikt nie będzie tropił zwierzyny, tylko ja. Nikt na ptaki nie zastawi sideł, nie wypróżni barci, ryb nie nałowi w potokach, tylko ja. Ja jeden na całych Kurpiach i nikt więcej.

Jakub przycisnął rusznicę ramieniem, jakby chciał sprawdzić, czy może jej zaufać i przepychał się przez gęstwinę młodych sosienek, które o twarz jego otrzepywały śnieg z gałązek i dobijał do szerokiej poręby, rozciągającej za sośninką.

Północ już była blisko, a w borze nie odezwał się ani jeden głos żywy, tylko śnieg chrobotał pod nogami.



— Cóż u licha, myślał Jakub, lis nawet nie przemknie, wrona nie ziewnie, ciężka noc rozłożyła się nad borem, jak nigdy dotąd, niepamiętna.

Nagle dreszcz przebiegł po kościach Jakuba, oczy przesłoniły się mgłą, a gdy je przetarł, aż krzyknął z podziwu i przerażenia.

U kolan jego łasił się brodacz-jeleń, na dłoniach swych uczuł kosmaty pysk wilka, a kręgiem ustawiło się stado saren, jelenic, rysiów i żbików, nadleciały płochliwe zające, a u nóg plątały się kuropatwy i inny drób ptasi, świegoląc i przekrzykując się wzajemnie:

— Dobry, kochany człowieku, bądź nam bratem i broń przed krzywdą, albowiem sami obronić się nie możemy. Słabi jesteśmy i biedni, gdy śnieg zaprószy lasy i mrozy sierdzą się na świecie.

Mowa zwierząt była tak dziwna i tak zamroczyła Jakuba, że runął nieprzytomnie w śnieg, a gdy się obudził z omdlenia, poczuł miłe ciepło.

Kudłaty niedźwiedź ogrzewał go swym ciałem, porykując z zadowolenia, iż śpiący się obudził i nie skostnieje już na mrozie.

— — — — — — — — — —

Gdy Jakub zebrał zmysły, świat mu się odmienił.

Wrócił do Myszyńca, nie upolowawszy nawet chudego ochlapa i żywił się, jak wypadło.

Do puszczy go jednak ciągnęło na rozglądy i na wypatrunek, co się tam dzieje.

Skoro zaś śnieg stajał, Jakub przepadł w borze.

Niekiedy widywali go ludzie, gdy zjawiał się w kościele, milczący i uroczysty, a na wszystkie zaś zagadanki odpowiadał:

— Ano, gospodarzę sobie w lesie i wara tam psocić, bo ubiję, jak wściekllicę. Śmiali się Kurpie z takiej mowy, choć Jakub mówił prawdę.

W ostępie zbudował sobie chałupę tak przestronną, iż mogła pomieścić nie tylko jego, ale i moc wszelkiego luda. Skamieniał jednak na wszystko, co ludzkie i nie chciał się bratać z żadnym człowiekiem, a natomiast przylgnął całym sercem do zwierzaków.

I umiał z nimi ugadać się, a najwięcej ze szpakiem Wickiem, którego wydarł jastrzębowi i odchuchał do życia.

Zmyślny to był ptak, a taki przechera, iż swarzył się z Jakubem ząb za ząb, świegolił mu bez przestanku, a każde słowo powtarzał, jak żaczek za nauczycielem. Bywało, ranek błyśnie, Jakub zabiera się do pacierza, a szpak za nim — Ojcze nasz i Zdrowaś, pochwali Chrystusa i Marię najświętszą, litanię zaś wyśpiewa jeszcze piękniej, niż mistrz, który miał już głos ochrypły i często zaciągał falsetem.

— Ten Jakub wytrzebi wszelką zwierzynę — mawiali strzelcy, ilekroć bowiem wybiegli na podchody, wracali z pustymi torbami, bo dobry człowiek, zwiedziawszy się o niebezpieczeństwie — nakazywał dzięciołom kuć w drzewa na trwogę, a na znak ten każdy zwierzak krył się w nory. Wicek zaś wydzierał się na wszystkie strony boru: zbój — zbój — idzie — u-cie-kaa-a-jcie!

Ale Jakub nie dowierzał ani kuciu dzięciołów, ani krzykowi Wicka, lecz sam brał za kijaszek, aby napędzić co głupie zwierzęta w schrony, bo zarówno wśród bydląt, jak i wśród ludzi są tacy, którzy nie ufają dobrym radom, dopóki ich nie spotka nieszczęście.

A raz wśród takiego obchodu, gdy poszedł wypatrywać Wicka, który dłuższy czas nie pokazywał się w chałupie, napotkał Jakub draba Gmurcyka. Kłusownik spojrzał gniewnie na starca i wyrzekł, potrącając go ramieniem:

— Obiecałeś utłuc każdego, kto się wedrze w bór, jak wścieklicę, a ja właśnie przychodzę, aby zrobić z tobą obrachunek.

— Idź swoją drogą, człowiecze, — odrzekł pokornie Jakub i byłby zeszedł ze ścieżki, ale z jednej strony błoto rozlało się głębokie, a z drugiej rosła gęsta krzewina. Chciał więc przesunąć się wedle Gmurcyka, ale kłusownik zagrodził mu przejście i warknął:

— Koniec z tobą, już mi nie ujdziesz!

— Albo ujdę, albo nie — odrzekł starzec i lepiej ujął w dłoni kijaszek, od wszelkiego wypadku.





Ale jakież tam było ujęcie, bo ani nie uniósł drewienka w górę, gdy rąbnął go Gmurcyk w głowę raz i drugi, krew zalała Jakubowe oczy i zsunął się w grzęzawisko.

— Gnij teraz wyżerusie, bo płoszyć już nie będziesz zwierzyny, sobie tylko rad, a dla ludzi sknera. Już się stąd nie podźwigniesz, aż na Sąd Ostateczny,— i splunąwszy poza siebie przepadł drab w gęstwinie.

Zrozumiał Jakub, że przyszła na niego ostatnia godzina.

Wygrzebał się wprawdzie z bagna i usiadł na ścieżce, ale tak osłabł, iż nie mógł postąpić kroku.

Coraz czarniejszy tuman przesłaniał mu pamięć, już nawet nie odnalazłby swej chałupy w borze. Zresztą, co mu tam po chałupie, skoro czuł, iż wybiera się w drogę, żal mu tylko, że daleką i poza puszczą, przed tron Pan-Jezusowy.

— O Boże! Boże! westchnął Jakub, czemuś nie zbudował sobie w puszczy pałacu na wieczyste królowanie? Bo czyż może być gdziekolwiek piękniej, niż tu, wedle Myszyńca?

— Jakoż mam Cię ubłagać, najsłodszy Jezu, abyś mnie pozostawił w tym borze?

— Zdrowaś Maryja, wstaw się za mną!

A ledwie wymówił te słowa, zaświerkało w gałęziach i kręgiem po lesie ozwało się ptasze wołanie:

— Zdrowaś Maryja, łaskiś pełna...

To chór szpaków pochwycił słowa konającego i ciągnął dalej modlitwę, jak najgłośniej zaś brzmiał ćwierk Wicka, który, zachłystywał się z żalu, przekrzykując gromadę.

I nastroszyły uszy zające, straszliwy Kosmacz wyciągnął pysk z nory, przysiadł na tylnych łapach niedźwiedź kudłaty, a jeleń brodacz zabeczał płaczem.

Na ten znak ryknęły knieje, ze wszystkich wykrotów i ostępów jęk rwał ku niebu:

Zdrowaś Maryja, przyczyń się za nami!

Aż strasznie stało się w borze.

Na lodowatej zaś twarzy zastygł uśmiech, który pozostawiła wylatująca dusza, pewna, iż Pan Jezus nie zabierze jej z puszczy.

— — — — — — — — — —

Przechadza się dusza Jakubowa po myszenieckim borze, płoszy zwierzaki sprzed fuzji strzelców, trawy spod śniegów wygrzebuje, gapiów do nor zapędza i nie prędko zobaczy oblicze Boga, chyba, aż po skończeniu świata.

Wprzód musi odbyć pokutę. Mniemała bowiem grzesznica, że tron Przedwiecznego kędyś daleko się znajduje, a właśnie w puszczy, obrał sobie Pan Bóg mieszkanie pod baldachimem rozpiętych sosien, na wydmach piasku pełnych i na puszystych polanach i tak ją umiłował, jak żadne inne miejsce na ziemi.

SPEAKER Z BAGDADU

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

Za panowania srogiego Nasr-ed-dina szalał w całym Bagdadzie terror najstraszliwszy. Nie było dnia, żeby na którymś z placów publicznych nie odbywała się jakaś krwawa egzekucja. Zdarzyło się, że ktoś nieopatrznie kichnął w pobliżu pałacu Nasr-ed-dina — i już siepacze brali go na męki.

Sam Nasr-ed-din uprawiał ze szczególnym zamiłowaniem p ł a w i e n i e swoich licznych żon. Niech mu tylko która przypaliła zupę, albo przesłodziła sorbet — zaraz klaskał w dłonie i przywoływał straże. Nieszczęsną zaszywano wnet w skórzanym worku, kładąc w jej nogach dużą dynię, albo melon; i wrzucano tak obciążony worek, wraz z odchodzącą od zmysłów niewiastą, do pałacowej sadzawki, w której mieszkały wielkie, żarłoczne krokodyle.

Potwory pożerały żony Nasr-ed-dina — a on siedział sobie spokojnie na tarasie nad fatalną sadzawką, każąc sobie robić manicure, albo drapać się w pięty...

Nie, stanowczo, Nasr-ed-din nie miał łatwego charakteru.

Rzecz prosta, że i programy radiowe w państwie Nasr-ed-dina nie należały podówczas do najweselszych. Broadcasting bagdadzki nadawał tylko monotonne śpiewy Muezzinów, urzędowe komunikaty o dokonanych egzekucjach i notowania giełd towarowych, obwieszczających po czemu ostatnio wielbłądzia wełna; albo po czemu daktyle i figi, loco stacja załadowania, albo loco drzewo.

Kiedy-niekiedy (i to poddani Nasr-ed-dina uważali za wielkie święto!) dawano radiofonizację któregoś z rozdziałów „Szecherezady". Ale świetne bajki tak ługowano z wszelkiego dowcipu, a przede wszystkim tak preparowano politycznie, że radiosłuchaczy ogarniała najczarniejsza nuda. Niejednemu skurcz rozdzierał szczęki i ziewali przeraźliwie. A na to tylko czyhali ludzie Nasr-ed-dina — i wsadzali ziewającego na pal, albo wyrządzali mu inną dotkliwą przykrość...

Niełatwo żyło się w owych czasach.

Było w bagdadzkim broadcastingu speakerów kilku, żaden z nich nie cieszył się jednak większą popularnością. (Prawo Proroka zabrania kobietom, jak wiadomo, stawania przed mikrofonem). Mówili z rana radiosłuchaczom:

— Kiształam?

Co po bajko arabsku znaczy:

— Jak się państwu spało?

A wieczorem mówili:

— Babarach-Tabarach!

Co po bajko arabsku znaczy:

— Proszę zalać ognie!

Nasr-ed-din odznaczał się, bezwątpienia, wyjątkowym okrucieństwem; zarazem, jak wszyscy panujący z tej dynastii, odznaczał się również wybitną muzykalnością. Otóż trzeba trafu, że któregoś dnia, wyjeżdżając konno, usłyszał śpiew pewnego młodego Muezzina, stojącego właśnie na szczycie pobliskiego minaretu. Usłyszał jego głos, ściągnął swego ognistego araba (świta oczywiście stanęła też, jak wryta) i słuchał w skupieniu przez dłuższą chwilę. Poczem prztyknął w palce i zawołał:

— El kamesz!

Co po bajkoarabsku znaczy tyleż, co:

— E u r e k a!

Przywołany skinieniem ręki Wielki Wezyr posłusznie zsunął się z siodła i padł na twarz.

— Jak się nazywa ten młody Muezzin o fenomenalnym głosie? — spytał dworaka Nasr-ed-din.

— Jah-Jah, Gwiazdo Gwiazd!

— Mianuję tego człowieka pierwszym speakerem mojego broadcastingu!

— Rzekłeś, Władco Wiernych! A co uczynić mamy ze speakerem obecnym?

Nesr-ed-din był tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze, bo jechał na polowanie z sokołami, za którym przepadał. Więc uśmiechnął się dobrotliwie i powiedział:

— Ten idiota zająknął się dziś rano, trzy razy, wymawiając łatwe słowo s z a s z ł y k.

— Tak było w rzeczy samej, Światłości Niebiańska!

— ...onegdaj, wymawiając łatwe słowo p i ł a w, też się zająknął...

— Przed Twoim okiem nic się nie ukryje, Furto Sprawiedliwości!

— ...utnijcie mu zatem jego niedołężny ozór i dajcie mu go zjeść: niech się nim udławi!

— Rrrrrrrozkaz, Fontanno Wonności!!!

W ten sposób młody Jah-Jah został pierwszym speakerem bagdadzkiej rozgłośni.

Zważmy, że czar speakera musi tkwić wyłącznie w jego głosie i inteligencji, bo wdzięku aparycji, ani uroku giestykulacji mikrofon nie oddaje (w owych czasach nikomu nie śniło się jeszcze w Bagdadzie o telewizji!). Zważmy dalej, że ważne jest nietyle to co speaker mówi — ile j a k mówi. Otóż speaker Jah-Jah pobił od razu wszystkie rekordy. Nim minął miesiąc — zakochali się w nim wszyscy Bagdadczycy. Cóż dopiero mówić o kobietach, hermetycznie zamkniętych w haremach, a więc tym bardziej skłonnych do pewnego marzycielstwa oraz egzaltacji!

Jah-Jah miał taki przyjemny głos, taką nieskazitelną dykcję i tak ujmującą intonację, że nawet marudnych komunikatów meteorologicznych słuchało się z rozkoszą...

— „Dziś w Teheranie prawdopodobnie będzie padał deszcz; a w Szirazie spodziewamy się ładnej pogody: podstawa chmur około trzystu metrów..."

I damy w haremach przymykały z lubością oczy. Mówił następnie Jah-Jah.

— „Sierść wielbłąda podskoczyła o 3 tomany na beli; a wełna kozia spadła w cenie o 20 khranów..."

I damy w haremach popadały w zupełną ekstazę. Nawet zupełnie suchych referatów słuchało się z przyjemnością:



— „Z rozkazu Słońca Słońc, miłościwie nam panującego Nasr-ed-dina, na kozim majdanie, dzisiaj świtkiem ucięto głowy czterem Persom, trzem Partom i dwu Kurdom..."

Brzmiało to, jak muzyka...

A kiedy sława speakera z Bagdadu doszła do zenitu, wezwał go przed swe oblicze srogi Nasr-ed-din. Wiedział Jah-Jah, że ważą się jego losy, bo kaprys okrutnego tyrana jest nieobliczalny. Ale był młody, odważny, i poszedł do pałacu śmiało.



Dworacy pouczyli go, że ma paść na twarz na progu sali tronowej i, pełznąc, doczołgać się do stopni tronu; a następnie odpowiadać wyłącznie na zapytania Słońca Słońc, przy czym, broń Boże, nie przeczyć, a zawsze potakiwać: tego Protokuł wymagał. Wysłuchał tego z uwagą Jah-Jah, wywalił im język, jak długi, i wszedł do sali tronowej, śmiejąc się, z dumnie podniesioną głową. Zdumiał się Tyran! Pierwszy raz takiego śmiałka widział. Zagadnął chytrze speakera:

— Jak ci się podoba, mój synu, twój władca?

— Pytasz mnie, Nasr-ed-dinie, jak mi się podobasz? — powiedział swobodnie młody człowiek: — Odpowiem ci na to: i tak — i nie!

Struchleli jeszcze bardziej dworacy i chcieli się zapaść pod ziemię. A ubawiony Nasr-ed-din pytał:

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— F i z y c z n i e mi się, owszem, podobasz, bo jesteś wysoki, efektowny brunet; ale m o r a l n i e mnie odpychasz, Nasr-ed-dinie!

— Dlaczego?!

— Bo ustawicznie plamisz się okrucieństwami! Ja wiem, skąd to pochodzi!

— No...?

— W tobie jest zła krew, bo ty źle trawisz; a trawisz źle, bo masz zły odbiór; a masz zły odbiór, bo nie sprawiłeś sobie dotychczas — o zgrozo! —

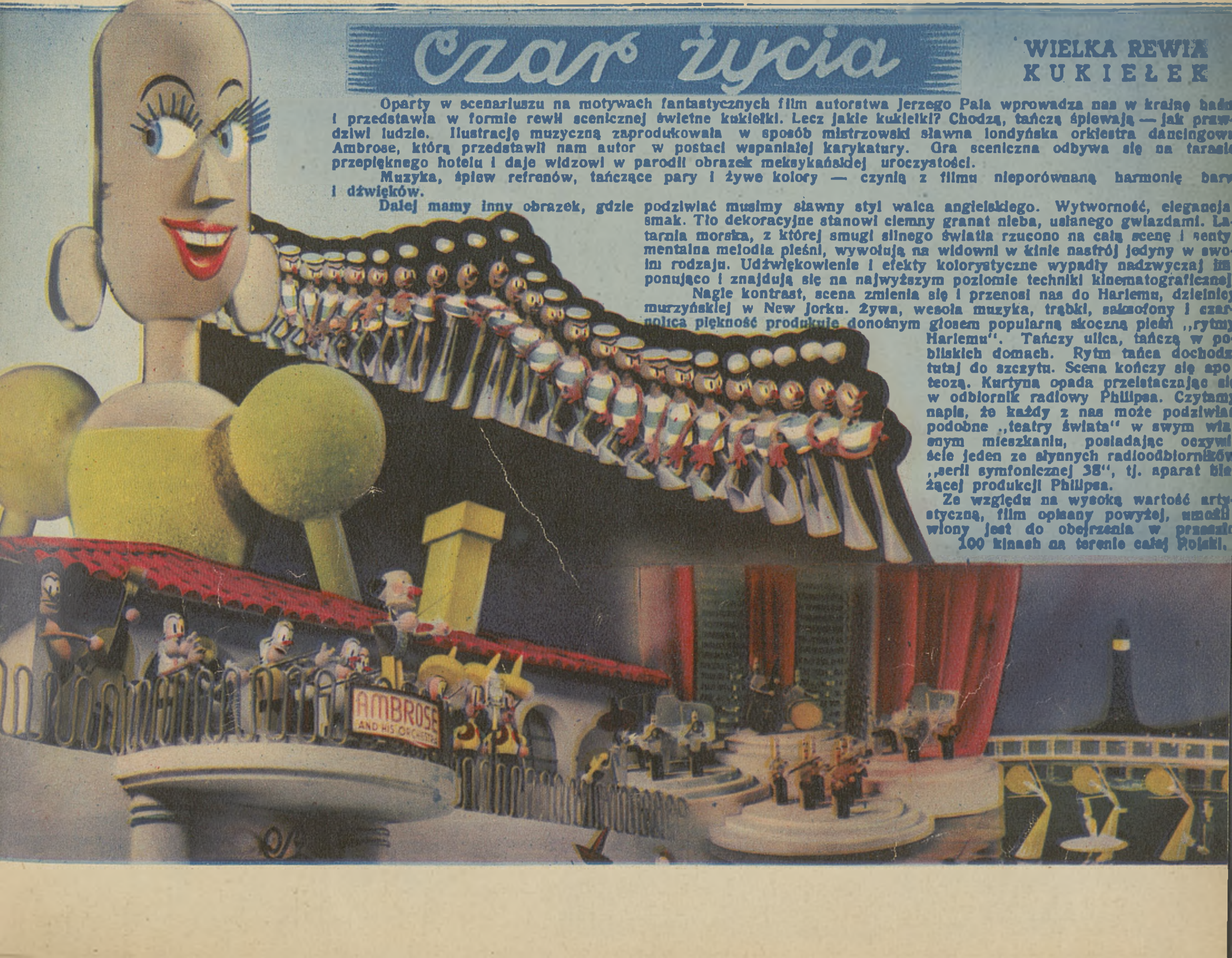


przyzwoitego odbiornika P h i l i p s a!

Tyran pomyślał — i roześmiał się.

— A wiesz, że zdaje się, masz rację?!

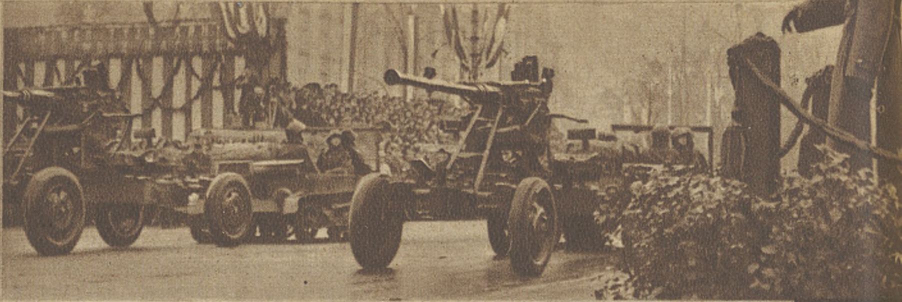
I niezwłocznie zainstalował w pałacu odbiornik P h i l i p s a. I od razu mu się radykalnie charakter zmienił. I już nikogo w Bagdadzie nie tracono. A Jah-Jah otrzymał tytuł książęcy i poślubił córkę Nasr-ed-dina, słodką Antenę.



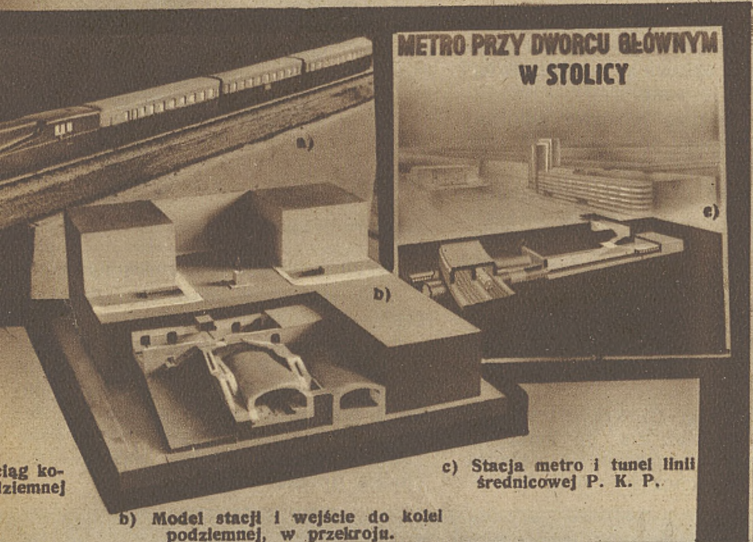
Z kraju i ze świata



Dżigitówka. Popisy kawalerii na Polu Mokotowskim w Warszawie, w dniu 11.XI. 1937 r.



Rocznica odzyskania niepodległości, dzień 11-go listopada najwspanialej obchodzony był w Warszawie. Przed Panem Marszałkiem Śmigłym Rydzem przedefilowały oddziały piechoty, kawalerii, artylerii, wojsk technicznych i niezliczone hufce młodzieży.



...ciąg ko-
...dziemnej

b) Model stacji i wejście do kolei podziemnej, w przekroju.

c) Stacja metro i tunel linii średnicowej P. K. P.



Król Karol rumuński i wielki wojewoda Michał salutują hymn narodowy podczas niedawnej promocji ks. Michała na podporucznika.



Na Międzynarodowej Wystawie Łowieckiej w Berlinie 1-sze miejsce i największą ilość nagród zdobyła Polska. Ilustracja przedstawia główny fragment pawilonu polskiego.

Fot. z wyd. „Łowiec Polski"

W „miasteczku Philipsa" w Warszawie został wzniesiony nowy obrzymi gmach fabryki odbiorników radiowych. Uroczystego aktu poświęcenia tego budynku dokonał w dniu 19.XI. 1937 r. J. E. ks. arcybiskup Dr Gall w obecności przedstawicieli rządu, sfer gospodarczych, prasy i t. d.





Efektowny widok jednej z hal w nowej fabryce radioaparatów. Na fotografii widzimy kolebkę słynnej Superheterodyny Philips Super 4-38.



Młode Eskimoski w swych barwnych, wzorzystych strojach narodowych opuszczają brzegi grenlandzkiego lądolodu udając się do „cieplej" Europy na pokładzie jednego z duńskich statków rybackich.



Krajobraz Grenlandii, gdzie przez 5 miesięcy w bież. roku prowadziła badania polska wyprawa naukowa.

RADIO Z OKAZJI

Różne są sposoby robienia zakupów przy skąpym budżecie. Obok rodzin, zakupujących potrzebne im urządzenie i t. p. na dogodne raty — są i tacy, którzy boją się rat i zobowiązań na 1-go. Wolą oni oszczędzać przez pewien czas, złożyć określoną sumę i kupić za gotówkę upatrzony przedmiot. Ta kategoria kupujących szuka przeważnie okazji i najczęściej znajduje ją, kupując — jeśli chodzi o radio — używany odbiornik typu z przed 2 lub 3 lat.

Można rozmaicie zapatrywać się na to, czy słuszne jest kupowanie starego aparatu, jedno jest jednak pewne: lepiej mieć odbiornik starszego typu, niż nie mieć wcale radia.

Wkrótce jednak po zainstalowaniu okazyjnie kupionego aparatu przychodzi rozczarowanie. Po pierwszej radości z posiadania radia, właściciel kupionego okazyjnie aparatu z przykrością zaczyna sobie zdawać sprawę z tego, że ma odbiór zbyt słaby, że aparat jego oddaje niektóre partie koncertów mocno zniekształcone, że poza lokalną stacją żadnej innej nie może wyraźnie słyszeć i t. p.

A jednak jest na to prosta rada. Wystarczy poświęcić 20 do 30 zł na kupno 2 nowych lamp, najbardziej wpływających na jakość odbioru radiowego, tj. lampy prostowniczej i głośnikowej, sprawność aparatu podniesie się i audycje będą czyste i wiernie odtworzone. Nawet już jedna nowa lampa Philips Miniwatt znacznie poprawi odbiór.

Przy kupnie sarego aparatu w sklepie radiowym lub u znajomych należy więc pamiętać, że lampy w takim aparacie są najczęściej zużyte. Najlepiej jest dać lampy do zbadania na specjalnym przyrządzie pomiarowym w jednej z firm, prowadzących akcję pod nazwą „Badanie Radia", a za skromną opłatą zł 2.— można otrzymać diagnozę o stanie wszystkich lamp w aparacie i zorientować się, które lampy są najbardziej zużyte i winny być zamienione na nowe.

Przy kupnie nowych lamp żądać należy lamp PHILIPS MINIWATT w oryginalnym zapieczętowanym opakowaniu z kuponem gwarancyjnym.

ZASIĘG I ANTENA

Jeśli chodzi o zasięg, tj. ilość odbieranych stacji nadawczych radiowych, oraz selekcje, tj. zdolność apartu do odbioru oddzielnego, nie zakłóconego, stacyj pracujących na zbliżonych falach — należy stwierdzić, że te zalety odbiorników zależne są nie od ilości lam p wodbiorniku, lecz od ilości tzw. obwodów strojonych, stanowiących rodzaj filtrów, oczyszczających audycję z przeszkód, wywołanych przez stacje nadawcze, pracujące w sąsiedztwie (w eterze).

Odbiornik jednoobwodowy, bardzo często u nas spotykany, nie zdoła rozwinąć takiej selekcji i takiego zasięgu, jak superheterodyna o 7-miu obwodach strojonych, w której selekcja i zasięg doprowadzone zostały do możliwego maksimum przez wielką ilość obwodów i silne lampy wzmacniające słabe impulsy, powstałe w antenie.

Mimo to, najsilniejszy nawet odbiornik radiowy musi mieć dobrą antenę, w której stacje nadawcze wzbudzają owe impulsy. Użycie najsilniejszego odbiornika tam gdzie nie ma on czego wzmacniać, gdzie nie otrzymuje dostatecznych impulsów z anteny, jest nonsensem, często niestety spotykanym. Główną — zdaniem laików — zaletą odbiornika jest to, że odbiera on bez anteny. Takie powiedzenie jest technicznym błędem. Odbiornik, który pracuje bez anteny, odbiera zwykle stacje najbliższe, nie mówiąc już o tym, że pracuje zwykle na najsilniejszym wzmocnieniu, dając odbiór silnie zakłócony.

Należy starać się o posiadanie dobrej anteny zewnętrznej nawet wtedy, gdy pozornie nie jest ona do odbioru koniecznie potrzebną.

PRZY ZAMIANIE

Każdy zdaje sobie sprawę doskonale, że wszystkie rzeczy z biegiem czasu tracą na wartości wskutek używania. Również w dziedzinie radia mają zastosowanie ogólnie panujące zasady.

A więc, gdy pragniemy stary odbiornik zamienić na nowy — nie powinniśmy się gniewać, lub obrażać — jeśli kupiec ocenia wartość naszego „staruszka" tylko na pewien ułamek dawnej ceny nabycia.

Słuszność też jest po stronie kupca, gdy chcemy niedawno nabyty odbiornik zamienić na nowy, piękniejszy, lub też innej marki—i, gdy żądamy, by kupiec przyjął go po pełnej cenie bez zastrzeżeń.

Nie może on tego uczynić, gdyż popełnił by nieuczciwość. Zastanówmy się, jak byśmy go nazwali gdyby nam dostarczył taki aparat jako nowy, a wtedy zrozumimy kupca całkowicie.

NA PRÓBĘ...

Często się zdarza, że nabywca żąda zainstalowania aparatu na dłuższy okres czasu. Chce go wypróbować.

Spotyka się jednak z odmową, bowiem sklep radiowy tego życzenia spełnić nie może.

Rzecz jest zrozumiała całkowicie. Nikt z nas nie zgodził by się z faktem, że kupując aparat nowy — otrzymać ma właśnie taki, który pracował już kilka miesięcy w różnych miejscach.

Nie kupujemy przecież na okres próbny ubrania, bielizny, sprzętów domowych, czy produktów spożywczych.

Odbiornik radiowy służy tak samo naszemu codziennemu użytkowi, jak wszelkie inne przedmioty.

Ustępliwość sprzedawcy, który zgadza się na wszystkie żądania w sprawie rabatu, okresu próbnego, gwarancji wieloletniej itd. — nie wzbudzi w nas zaufania.

MIŚ

Przede mną na biurku siedzi pluszowy miś
Z milutkim gumowym smoczkiem.
Taki strasznie milutki i taki miękki,
Łypie na mnie szklannym oczkiem.
Ja nie wiem doprawdy dlaczego dziś
Tak chciałbym go wziąć do ręki.
Pogładzić delikatnie — nie widzę celu
Chyba kaprys, jeden z wielu.
Dlaczego, naprzykład, nie wczoraj, tylko dziś
Ta śmieszna biurka ozdoba,
Ten mały, brudny, zjedzony przez mole miś
Tak mi się bardzo podoba.

A. Gryf

HUMOR



— Bądź tak dobra, Amelio, i nastaw radio na inną stację. Wiesz przecież, że nie lubię arii operowych.

ZMIANA PIOSENKI

Podobno od czasu zainstalowania radia w świetlicach wojskowych żołnierze śpiewają: radiuje się serce, radiuje się dusza...

JAKI ODBIORNIK?

— Czy pan kupił sobie odbiornik na prąd?
— Nie, na raty.



Nowoczesny „zaklinacz" szczurów.

Opracowanie: Antoni Żmigrodzki. Druk rotograwiurowy DOM PRASY S. A., Warszawa, Marszałkowska 3.



(Reprod. z Kalendarza I. K. C.)